

Hrabia Monte Christo

Większość znanych mi osób woli oglądać filmy w sali kinowej niż w telewizorni. Obcy grunt, przypadkowa wspólnota tworzą atmosferę odrobinę bardziej odświeżoną.

Jako uczennice żeńskiej szkoły podstawowej uwielbiałyśmy gromadnie biegać do kina. Często na filmy – jak w piosence „dozwolone od lat osiemnastu”. Były też zawody w liczbie oglądania tego samego filmu. Przypisuję sobie dumnie coś w rodzaju rekordu Guinnessa, gdyż w wieku lat dziesięciu (aby zdystansować koleżanki) zaliczyłam jedenaście razy włoski film „Jutro będzie za późno” reżyserowany przez Vittorio de Sicę, który zresztą grał tam rolę mądrego nauczyciela. Bohaterami byli zakochani nieletni Franco i Mirella posądzani (zgroza!) o seks. Do dziś pamiętam mnóstwo scen i fraz. Na przykład gdy Mirella w szkolnym teatrzyku deklamowała: *Czuję że nie potrafię znieść swojego losu bez twojej obecności, bez twojego głosu. Z woli mej odtąd będziesz mężem mym i panem. Na klęczkach witam cię, o ukochany!* Przepiękna młodzieńcza miłość. Jakby dzisiaj określano: niekonsumowana.

Wędrowałam w głąb dorosłości w epizodycznym towarzystwie, np. Bergmana, Felliniego, Antonioniego, Wajdy, Kieślowskiego. „Trzy Kolory. Czerwony” z niespodziewanym, prawie bajkowym happy endem także bisowałam.

Moją kobiecość zatrzymało na dłużej „Pożegnanie z Afryką”. Oglądałam nadal z zachwytem przy nadarzających się okazjach. Przepięknie filmowaną afrykańską florę i faunę, z muzyką jak marzenie. I dojrzałą, spełnioną miłość w wykonaniu rewelacyjnych aktorów, z których Meryl Streep chyba jednak przewyższa partnera. Niby bez *happy endu*, ale jednak...

Z obydwoma półkulami mózgowymi (pardon, perfekcjoniści) napętnionymi zanurzonymi w chaosie śladami pamięciowymi romantycznych filmowych uniesień, u schyłku gorącego lata rzuciłam się do ulubionego kina Charlie obejrzeć wychwalaną przez znawców najnowszą ekranizację „Hrabiego Monte Christo”. Jak od dawna wiadomo, są trzy główne problemy starości: upadki, otępienie i nietrzymanie moczu. Na seansie miałam wygodny fotel z podłokietnikami, trudno było spaść. Stopień własnego otępienia pozwolił mi przyjść samodzielnie danego dnia do danego kina na dany film, więc jeszcze nie jest dramatycznie. Co do trzeciego... film trwa te cholerne bite trzy godziny! Bite, bo oczywiście nawet przy tak długim filmie obsługa nie rezygnuje z reklam! Ale – zgadzam się z recenzentami – akcja filmu jest tak wartka, barwna i ciekawa, że czas umyka niepostrzeżenie i po tych godzinach, jak pisze bodajże Krzysztof Varga, „nawet człowiek nie odczuwa bólu tyłka”. Dodam tu od siebie, że nawet nie ma czasu, żeby doświadczyć trzeciego problemu starości.

Wróciłam do domu jednakowoż z niewielkimi czepialskimi rozczarowaniami. Młodziutki Edmund Dantes łątwiutko i spektakularnie (zresztą na swoją zgubę) ratuje utoniętą całkowicie młodą kobietę przebywającą bez ruchu skośnie pod wodą, w formie nieruchomej lalki. Nieprzekonujące. W straszliwej, genialnej scenerii zamku If (przy której ruskie tury to sanatorium) spotykał się z opatem Farią, objaśniającym mu tajemnice dojścia do skarbu na wyspie Monte Christo, przy ogromnej liczbie jaśniutko płonących świec. Skąd one?

Hrabia M. Ch. po kilkunastoletnim pobycie w mordowni wygląda prawie jak poprzednio. Chyba jednak powinien być zaangażowany inny aktor. Na koniec: Haydee, zamiast zostać w miłosnej relacji ze swoim chlebodawcą, oddaje się odwzajemnionemu uczuciu z równolatką. No, wola scenariusza i reżyserii. Twórcy skrócili jej imię o literkę – Hayde. Z całą pewnością prawowite imię książkowe brzmi o niebo bardziej melodyjnie i romantycznie. No owszem, czepiam się.

„Hrabia Monte Christo”, obok „Faraona”, był książką, na której uczyłam się czytać, zanim jeszcze poszłam do szkoły. Jako komentarz do akcji „czytamy dzieciom codziennie dwadzieścia minut”, podam tylko fakt, że w całości przeczytałam ją memu synowi, gdy jeszcze był... w łonie.

Krystyna Borysewicz-Charzyńska

Panaceum 10/2024